

Gaël zerknął za wychodzącym Casboltem, a napływające do głowy myśli burzyły jego spokój. „Taki podobny do ojca, ten głos, gesty, wszystko, ale – pokręcił głową – czy to możliwe?”

– Co to było? – zapytał, odwracając się w kierunku Moniki.

– Martin Casbolt. Straszny z niego furiat.

– Chodzi mi o sytuację.

– Też chciałabym wiedzieć. Pamiętasz, co poczułeś, gdy dotknąłeś Pandory? – Monika szybko zmieniła temat.

Gaël usiadł na krześle i zerknął na sufit. Monika pokiwała głową, dając znak, że wie o podsłuchu.

– Niewiele, ale... – Umilkł. – Dlaczego nazwałeś mnie Ozum?

Wstała i podeszła do drzwi.

– Miałam tę samą wizję – odparła. – Jutro, godzina 10.00, główne laboratorium. Przepustka będzie gotowa.

Gaël pokiwał głową, po czym rzekł:

– A co z... – nie dokończył.

– Później. Jestem już zmęczona. Okay?

Wstał, przyglądając się drżącym dłoniom Moniki. Postanowił się nie odzywać, doskonale zrozumiał, że chce zostać sama.

– Rozumiem – skierował się do wyjścia. – Uważaj na siebie. Do jutra.

– Do jutra – odparła, z trudem powstrzymując łzy.

## A1

17 września, laboratoria CeRPER

Biały pokój nieskażony cieniem, pozbawiony kątów, narożników i bezpośredniego światła, skrywał niewielki, unoszący się nad ziemią artefakt. Pandora wykazywała nieznane naukowcom właściwości: drgała, zmieniając fakturę oraz nachylenie boków, falując pseudokolorami w gorączkowym ruchu. Wokół pojawiały się przedziwne projekcje ukazujące niewyraźne cienie postaci, pozostawiające ciepło malujące pomieszczenie mocnymi falami purpury, czerwieni i żółci.

Gaël przekrzywił głowę i obserwował znajdujący się za pancerną szybą artefakt. Doskonale pamiętał każdą sekundę spędzoną w kopalni,

urwany krzyk Albeme, lament Tusambe, wizg pocisków rozrywających ludzkie mięso.

„Pandora – myśl przetoczyła się umysłem. – Chropowatość i chłód materiału, uwypuklających się ku górze fresków. Pamiętam doskonale, ile bólu w sobie skrywasz. Czym ty w ogóle jesteś?”

– Przygotować się do uwolnienia wiązki – Głos Moniki wyrwał go z kontemplacji. Spojrzał na nią, pogrążoną w dziwnym transie, niemalże euforii.

– Ustawcie moc na siedemdziesiąt procent. Podłączcie neuroprzekazniki – rozkazała. – Nie zapomnijcie o nałożeniu neurostabilizatorów.

– Już się robi – odparł Frigstad.

Wraz z doktorem Killpatrickiem sprawdzał, czy przepływ cząstek przez strumień pola przebiegł prawidłowo. Teoretycznie należało umieścić Pandorę w czwartej gęstości, wykorzystując do tego kształt przejścia. Zasilanie kompleksu było za słabe, aby wytworzyć napięcie inicjujące zdarzenie, ale według teorii doktor Eden można było to zrobić inaczej. Jak? Tego nikt nie wiedział.

– Czy to zadziała? – zapytał Roy, przyglądając się uważnie.

– Zobaczymy, ale już raz się udało – odparła doktor Eden, spoglądając na Gaëla.

– Ta wibracja – dodał podekscytowany Killpatrick – to prawdopodobnie uniwersalny język kosmosu. Melodia milionów lat ewolucji! Niesamowite!

– Załóż to! – Patrick Roy spojrział na Gaëla, po czym wskazał palcem na żółty skafander. – Na mój sygnał wejdiesz przez tamten właz. Następnie odizolujemy promieniowanie, zamykając cię w środku. Reszta należy do ciebie. Jasne?

– Promieniowanie... – Zawahał się. – Nie było o tym mowy. – Spojrzał na Monikę.

– Spokojnie, w kombinezonie będziesz bezpieczny.

Gaël zlustrował ich podejrzliwym spojrzeniem, po czym dodał w myślach: „Uhum, już raz to słyszałem”.

– Co potem? Zejdę tam i co? Mam zatańczyć? – zapytał.

– Ty nam powiedz. Tylko tobie się udało. Prawda?

Gaël zbladł i tylko kiwnął głową. Nie miał pojęcia, dlaczego akurat on miałby aktywować artefakt. „Lepiej im tego nie będę mówił” – stwierdził po chwili.

– Zaczynajmy – ponaglił Frigstad.

Maszyny zawyły. Gaël odwrócił się, spoglądając z obawą na tańczący wokół własnej osi artefakt. Wibracja przybierała na sile, wzmagając się do tego stopnia, że całe pomieszczenie zaczęło drgać coraz mocniej i mocniej.

– Czy to normalne? – zapytał, poprawiając nogawki skafandra.

– Tak – odparł Roy. – Tlenu starczy na dwie godziny. Ale postaraj się uwinąć jak najszybciej – dodał, zerkając na walczącego z rękawami Gaëla.

– To chyba jakiś kod. – Doktor Eden wskazała palcem na ekran komputera. – Jakby alfabet. Gotowy? – zapytała, spoglądając na Gaëla.

– Chwila – odparł, starając się dopiąć suwak.

– Gaël! – zawołał Killpatrick, przekrzykując nasilający się zewsząd zgiełk. – Możesz włączyć do komory.

Pokiwał głową, dociskając rurę z tlenem.

– Dopasowanie wzorca kompletne w 66 procentach – poinformowała SI.

– Jesteście pewni, że mam tam zejść? – zapytał, spoglądając z obawą na niewielką śluzę prowadzącą do pokoju z artefaktem.

– Tak. Ruszaj! – ponaglił Frigstad.

Hałas potęgował się z każdą sekundą, a wbijające się w uszy decybele skutecznie utrudniały swobodną rozmowę. Nasilające się dudnienie przeplatane świstem i kołataniem wstrząsnęło fundamentami laboratorium. Huknęło!

– Dopasowanie wzorca kompletne w 77,6 procent – rzekła SI. – Uwaga! Możliwe przeciążenie generatorów.

Gaël otworzył wąż i spojrzął na ciągnącą się kilkanaście metrów w dół metalową drabinkę. Przedzierając się przez wąski, zawilgocony korytarz, nieustannie rozmyślał nad sensem własnych działań. Wątpliwości nie ustępowały, tym bardziej, że poprzednie spotkanie z Pandorą skończyło się tragicznie.

„Kurwa, ciasno!” – pomyślał, walcząc z narastającym lękiem.

Zatrzymał się, widząc trzęsące się dłonie i napływające do oczu krople potu. Próbował ruszyć dalej, ale obezwładniony skurczami mięśni, zwarciem w synapsach, znieruchomiał. Mijały sekundy, pierwsza minuta cykła na zegarku.

– Pospiesz się! – zawołał ktoś. Zerknął w górę. Drabina ciągnęła się niczym rozprostowane pasmo DNA. Na końcu dostrzegł Frigstada wychylającego się przez wąż.

– Nie, ayi... – Zaniemówił. – Nyeec mogyee! – krzyknął, ale jego głos zgiął w potężnej kakofonii dźwięku skręcanej stali, ścinanej wzdłuż nieznannej nikomu wcześniej linii naprężeń.

– Czemu stoisz? – Głos Moniki zaszumiał w kapturze skafandra.

– Chyba się o coś zaczępli! – zawołał Frigstad.

– Sprawdź to! – krzyknął doktor Roy.

Kolejny huk, narastające decybele, wstrząsy i gwizdy. Gaël ponowił próbę uwolnienia się ze swoich obaw. Chciał ruszyć dłonią, lecz z jakiegoś niewyjaśnionego powodu nie mógł tego zrobić. Dostrzegł zbliżające się wolno Frigstada. Z trudem wyciągnął rękę, chwytając za szczebel, i ponownie spojrział w górę.

„Opanuj lęk! Bądź mężczyzną!” – walczył z myślami. Wspomnienia z niewoli powróciły ze zdwojoną siłą, dźgając wolę, odcinając krew w żyłach. „Kim jesteś? Dla kogo pracujesz?!” – kołatał się głos w zakamarkach umysłu. Mocniej ścisnął pręt drabiny, a sparaliżowane strachem mięśnie, zwiotczałe i osłabione, ledwo drgnęły. „Muszę iść! – pomyślał, spoglądając na wiszącą tuż nad nim Frigstada. – Muszę!”.

– Dam ra...! – Z jego gardła wydobył się jedynie urwany krzyk. Naprężenia rozdarły śruby mocujące drabinę. Runęli niczym pozbawiona hamulców winda. Odgłos wyginanej stali przeplatany piskiem tarcia metalu o metal wystrzelił korytarzem niczym pocisk z armaty.

Zwolnione tempo, falujące, rozmyte obrazy, cisza, spokój... światło.

„Chyba umarłem”.

Otworzył oczy, dostrzegając napływającą z każdej strony jasność.

„Nie, jednak... żyję”.

Gdy wzrok przyzwyczał się do blasku, zrozumiał, że znalazł się w walcowatym, usianym elektroniką korytarzu. Obejrzał się. Na podłodze leżał powyginany wąż, tuż obok powykręcana drabina, a niecały metr dalej biel podłogi przybrała krwisty kolor. Ciało Frigstada wydawało się martwe, a z jego roztrzaskanej czaszki wypływała znana Gaëlowi ciecz. Uniósł wzrok, spojrział na rozerwane, niemalże dokładnie wyłuskane śruby. Ściany i podłoga tunelu odchyliły się o trzydzieści stopni niczym wyżymana ściera.

– Kurwa! – wyszeptał. – Co za bajzel.

– Gal...rrruuu... szhhhhhh... – Wbudowana w kaptur radiostacja ponownie zaszumiała. – Zayrszzz zajdd!

Z trudem wstał, starając się opanować szalejący błędnik. Świat szarpał się na boki. Wyjący alarm wydał mu się jeszcze głośniejszy.

– Aaaa – jęknął, gdy igła bólu przeszła lewe kolano jak porażająca włócznia. Ruszył w kierunku ostatniego włazu.

Każdy krok był jak dźgnięcie prądem. Po ścianach nerwowo przeskoczyły iskry opalane smugą błyszczącego światła. Strach i zmęczenie w oczach Gaëla zastąpił blask przekonania, a jego głos zdrzął, przetaczając się gwałtem po laboratorium:

– IDEŃ! Otwórzcie właz!

Odpowiedział mu niewyraźny szum wbudowanej w kaptur radiostacji. Szedł, mimo że czuł się jak sflaczały embrion.

– Jest! – krzyknęła Monika, obserwując Gaëla wtaczającego się do pomieszczenia z Pandora.

Z przerażeniem spoglądali na wykresy strzelające grubą kreską ponad skalę, otoczenie płonęło tysiącami siwertów. Jedynie krok dzielił go od...

Znowu błysnęło. W mozaice światła i cieni coś się poruszało, kolory ponownie rozsmarowały niewyraźną ścianę, uwypuklając szerokie spektrum odcieni i barw. Chwilę potem usłyszeli nieludzkie wołanie. Nieznane dotąd nikomu akordy wypełniły przestrzeń, gwałtem wciskając się do umysłu.

– CZY NAM PRZEBACZYCIE!? – Głos z siłą grzmotu przetoczył się po pomieszczeniu. – Aaaaa! – Przenikliwy i charczący ryk wydobył się z gardła, a chwilę po tym wszystko zamarło. Pandora gwałtownie spadła na podłogę, lampy zaś, utraciwszy pierwotną moc, tliły się bladym światłem.

– Szybko! – krzyknął Killpatrick. – Pomóżcie im! Biegiem!

Mijały minuty, szczebel za szczeblem Monika i Patrick pokonywali kolejne metry, natrafiając na leżące samotnie ciało Frigstada.

– Idź! – krzyknął Roy, zatrzymując się przy zwłokach. – Ja się nim zajmę!

Monika nie protestowała. Błądząc wzrokiem po korytarzu, poszukiwała Gaëla. Kolejne sekundy...

Otworzywszy z trudem oczy, Gaël dostrzegł wpatrzoną w niego doktor Eden. Jego wykrzywiona przepływającym bólem twarz pobladła, a poczerniałe i napęczniałe żyły niemalże wystrzeliły spod skóry. Blask światła poraził powieki, w ustach mu zaschło, a palce pulsowały tęnym bólem.

– Widziałem ich – szepnął, zamykając powieki. – Widziałem... są... – Nie dokończył.

Kolejny wstrząs, tuż za nim następny.

– Kogo? Gaël! – zapytała Monika. – Gaël! Nie zasypiaj! – krzyknęła.

– Uwaga, uwaga! Strefa przekroczona. Kod czerwony, powtarzam, kod czerwony! – Głos SIRI odbijał się echem od metalowych ścian.

– Co się tam dzieje? – zapytała Monika, odwracając się w kierunku Patricka Roya.

– Nie mam pojęcia... – Roy zamilkł i przełknął ślinę. – Frigstad nie żyje. Zabierajmy się stąd, szybko! – dodał, chwytając Gaëla pod pachy.

Odgłosy kroków nikły w kanonadzie wyginanej stali, kruszonego betonu, łamanych wsporników. Roztańczone czerwone światło muskało ściany, rzucając rozmytą poświatę w tempie kręcącej się karuzeli. Wstrząsy z nieustępującą regularnością jak na zawołanie przetaczały się przez fundamenty, kreśląc krzywe linie. Łup, łup!

Biegli dalej do momentu, gdy sflaczałe ciało Gaëla zaczęło im ciążyć. Drabina – kilkadziesiąt szczebli morderczej tułaczki – pięła się w górę.

– Złapię go za rękę! Ty przytrzymasz nogi! Okay?

Monika kiwnęła głową.

– Damy radę! Idę pierwszy! – wrzasnął Roy, zarzucając sobie porucznika na plecy. Ruszyli ciasnym, powyginanym tunelem, z trudem pokonując każdy metr. Zroszona potem szyba skafandra utrudniała wyraźne widzenie. Mimo to Roy nie poddawał się, przeciskając się przez tunel, który przypominał zwiotczałe i powykręcane jelito. Wtulony w porozpruwane ściany, nagą płataninę rur i kabli, oddychając ciężko, pokonywał metr za metrem.

– UWAGA! PRZEKROCZENIE STREFY BEZPIECZEŃSTWA. PROMIENIOWANIE OSIĄGNĘŁO POZIOM KRYTYCZNY! WYŁĄCZENIE SYSTEMU NASTĄPI ZA DWIE MINUTY! EWAKUOWAĆ LABORATORIA! – komunikat SI nie wymagał tłumaczenia.

Zacieśnili ruchy, wijąc się niczym wąż w ciasnym tunelu. Ostatnie szczeble drabiny, metr, może mniej. Roy ostatkiem sił wyciągnął się niczym struna, sięgając ręką włazu.

– Kilpa... – wydyszał z ziajany. – Killpatrick! – zawołał z nadzieją, że tamten mu pomoże, lecz jego wołaniu odpowiedziała cisza.

Złapał metalowy próg, podciągając się z trudem na zmęczonych, nieprzyzwyczajonych do wysiłku ramionach.

– Doktorze! – dobył się z tunelu głuchy krzyk Moniki. – Nie utrzymam!

Roy w mig dopadł do wnęki, łapiąc Gaëla za rękę. Zaparł się nogami o obramowanie włazu, a następnie, zaciskając zęby, opluwając przy tym szklaną wizurę skafandra, wciągnął ciało porucznika do pomieszczenia. Chwilę po tym, sapiąc miarowo niczym po przebiegniętym maratonie, wstał, przytrzymując się ściany.

– MINUTA DO EWAKUACJI! – komunikat SI przypomniał mu, że nie czas na odpoczynek.

Doktor Eden wygramoliła się z tunelu, razem z Patrickiem podnieśli Gaëla i w pośpiechu ruszyli do windy. Drzwi rozwarły się z westchnieniem. Nastąpiło lekkie szarpnięcie, jechali w górę. W ciągu tej niekończącej się, zamrożonej w czasie chwili zauważyli plamy krwi oblepiające panel sterujący. Wymienili spojrzenia. Patrick rozwarł usta, jakby chciał coś powiedzieć, lecz postanowił milczeć.

Winda powoli zwalniała, aż w końcu stanęła. Nikłe światło całkowicie zgasło, przykrywając ich płaszczem mroku. Ostatnim tchnieniem drzwi się rozsunęły, po czym zupełnie obumarły. Zobaczyli ciemny tunel, tylko gdzieś tam rozświetlany skaczącymi nerwowo iskrami.

– Co, do cholery? – mruknął pod nosem Patrick. – Gdzie my jesteśmy?

Monika, nie zastanawiając się dłużej, odpięła od pasa latarkę i rozświetliła tunel. Pokryte gąszczem rur i przewodów kable ciągnęły się metrami, ginąc w ciemności. Niewielkie obłoki pary zawirowały nieważkimi arabskimi, wchłaniane przez pobudzone do życia wentylatory.

Ruszyli.

Mijali nieskażone światłem drzwi do pomieszczeń laboratoryjnych, aż dotarli do pierwszego rozwidlenia, a potem do następnego i jeszcze jednego. Towarzyszyły im dalekie gwizdy usypiających wentylatorów, skrzypienie i pojękiwanie naprężonej stali, a gdzieś przed nimi odgłosy kroków.

– Słyszałeś? – Monika znieruchomiała.

– Co?

– Ciiii... – szepnęła. – Tam! – Oświetliła drzwi.

– Sprawdźmy – zarządził Patrick.

Zerknęła na niego, z trudem ukrywając narastające przerażenie.

Poprawili Gaëla i dopadli do drzwi, chwilę później znaleźli się w dużym, przestronnym pomieszczeniu, niemalże magazynie. Zanim latarka rozbiła się o metalową kratownicę, rozsypując drobiny szkła i plastiku, w okamgnieniu ujrzeli rzeź – naukowców, kolegów i żołnierzy rozprutych bez cienia skrupułów. Wypatroszone trupy leżały na stołach laboratoryjnych, na podłodze, krzesłach przy komputerach, a tuż przed nimi, przecięty niemalże na pół, leżał doktor Killpatrick. Niepoprawny optymistą, wizjoner, idealista pragnący zrównać ludzi z Bogami.

Ucięty wpół krzyk Moniki powstrzymał strach.

– Spoczywaj w pokoju, przyjacielu – wyszeptał Roy, odwracając głowę.

Przez chwilę patrzyli na siebie: ona z miną wyrażającą zarazem przeżenie i ciekawość, on po prostu wodząc wzrokiem po stosie trupów. Już mieli się wycofać, opuścić to pomieszczenie horroru, gdy bezgłośnie eksplozje jaskrawych punktów światła rozpały wewnątrz jasnością, a zaraz potem padło głucho i groźne:

– STÓJCIE! Nie ruszać się!

Znieruchomieli, puszczając Gaëla. Stojąc w stożku światła, dostrzegli zbliżające się jasne punkty.

– Zidentyfikuj się! – padły słowa tuż przy nich.

Patrick drżącą ręką sięgnął po plakietkę i rzucił ją niedbale przed siebie, po czym krzyknął:

– Doktor Patrick Roy i doktor Monika Eden, CE-5! Nie strzelaj!

W oczach zawirowały mu mroczki, wystarczyła sekunda i pokój ponownie zanurzył się w ciemnościach.

– Sir! Znaleźliśmy ich! – dobiegł z prawej strony niemalże metaliczny, pozbawiony emocji głos.

Monika poczuła ciężkie ramię opadające jej na bark.

– Ruszamy! – Rozkaz nie pozwalał na sprzeciw.

Ruszyli.



# ROZDZIAŁ IV

*Kto się przestaje rozwijać, umiera.*

Antoine de Saint-Exupéry

*Na środku zmaterializował się podobny do inkubatora, wypełniony cieczą zbiornik. Za krystalicznie czystą powłoką pływał zawieszony w śluzowatym roztworze żywy organizm: nagi, obficie owłosiony, około półtorametrowy, z dwiema kończynami górnymi oraz dolnymi. Miał niskie czoło i drobne uzębienie. Twarzoczaszka oraz wały nadczołowe wyróżniały się na tle turrackiej budowy pięciometrowych gigantów o wydłużonej i zwężającej się ku górze czaszce.*

*– Nazwali go „człowiekiem” – wyjaśnił Lyrianin. – Prace postępowały w tajemnicy. Wykorzystali geny zwierząt z powierzchni planety.*

*– Znacznie się od nas różni. Czeka ich długa i bolesna ewolucja – powiedział, podchodząc do rezerwuaru.*

*Olark klęknął na kolano i uważnie przyglądał się istocie, która w porównaniu z wielkim ciałem Turraka przypominała niemowlę.*

*– Elohimowie zapewnili, że wytworzą pożądaną algorytm ewolucyjny – stwierdził Lyrianin.*

*– Miejmy nadzieję – odparł Olark, spoglądając na człowieka – że wśród tego całego nieszczęścia i bólu narodzą się istoty, które przetrwają ostatni cykl Galaktyki.*

*– Aby to osiągnąć, musimy okaleczyć własne dzieci – rzekł Egga.*

*Olark powstał i porozumiewawczo zmierzył go wzrokiem.*

*– To prawda – odparł, zamykając oczy.*

**Kroniki Gauda, Implementacja życia w sektorze Certis  
AH-87N – 0Z6, Archiwa**

## DZIADEK MRÓZ

1 października, Nowy Jork

„Podczas trwających od dwóch dni zamieszek policja zatrzymała dwieście osób podejrzanych o dokonanie rozbojów” – huczał telewizor. Elegancka prezenterka relacjonowała zdarzenia, ściskając z dumą niewielki mikrofon. „Nieźła – pomyślał David Fox. – Z chęcią pokazałbym jej to i owo”. Przełączył kanał.

„W wyniku nocnego opadu śniegu cały Nowy Jork został sparaliżowany. Najbardziej ucierpiała zachodnia część miasta, zaczynając od ulicy...”.

– W kółko o tym samym – burknął niezadowolony i ponownie zmienił stację telewizyjną.

„Policja doliczyła się ponad stu przypadków śmiertelnych. Przyczyną zgonów było gwałtowne ochłodzenie. W nocy temperatura osiągnęła minus trzydzieści cztery stopnie Celsjusza. Ofiary to głównie bezdomni, dla których zabrakło miejsca w przytułkach. Po raz kolejny zadajemy sobie pytanie: kiedy minie zima stulecia?” – relacjonował mężczyzna ubrany w ocieplany płaszcz.

David wyłączył telewizor i spojrział na zegar wiszący na ścianie: wybiła dwunasta. Za kilka godzin powinien się udać do Dulce. Jego urlop trwał zaledwie trzy dni. Majestic nigdy nie spało, on o tym doskonale wiedział. Od jakiegoś czasu niepokoiła go pewna sytuacja. Dostawał coraz mniej dni wolnych, przełożeni zmieniali się z tygodnia na tydzień. Liczba operacji finansowanych z czarnego budżetu stale rosła. Mimo natłoku działań on i jego ludzie byli pomijani. Oczekiwali nie wiadomo na co.

„Czyżby wiedzieli?” – głowił się.

Telefon delikatnie zawibrował. Dostał esemesa. *Zrobisz zakupy? Jestem u kosmetyczki i nie wiem, jak długo mi jeszcze zejdzie. Lista leży na stole. Rita* – przeczytał wiadomość. Chwilę później poderwał się z fotela.

„Miasto jest sparaliżowane, a stara głądzi o zakupach? Nawet gdyby było to możliwe, to ona nie chodzi do kosmetyczki. Jest tak gruba, że nawet czarodziejska wróżka by jej nie pomogła” – pomyślał, a następnie jednym susem dopadł do okna. Obserwował ulice, dostrzegając jedynie sypiące się z nieba płatki śniegu, pokrywające niemal całe miasto. Sroga zima spowodowała zastój w ruchu kołowym. Ludzie woleli korzystać z jeszcze sprawnie działającego metra. Mimo obecności wojska mieszkańcy nie opuszczali

domów. Godzina policyjna trwała od 22.00 do 6.00 rano. Pomimo starań sił bezpieczeństwa prawo pięści z wolna rozlewało się na ulice, godząc w najślabszych. Ciężarówki wywoziły tonami zalegający śnieg, ale sytuacja Nowego Jorku daleka była od normalności. Puch jak padał, tak padał, i nie zważał na obelgi, jakie ludzie kierowali w jego stronę.

Ruszył do kuchni. Po drodze upewnił się, że ma przy sobie swoją ulubioną giwerę: glocka 17. Przeładował i schował do kabury.

Na kuchennym stole nie było żadnej listy. Zalegało tam wszystko: od okruszków chleba i rozlanego piwa wraz z pustymi butelkami i porzrzuconymi kapslami aż po sierść kota żony, którego nie znosił. „Pierdolo-ny Pucus, grubas podobny do Rity” – zaklął w myślach.

Ubrał się w zimową kurtkę, włożył na głowę ciepłą wełnianą czapkę, a do kieszeni schował skórzane, podszyte futrem rękawiczki. Następnie w pośpiechu opuścił mieszkanie. Zbiegł po schodach i w niecałą minutę był na dole. Chodnik był świeżo odśnieżony. Podbiegł do głównej alei Park Ave i machnął ręką na taksówkę. Mimo tego całego zamętu miasto jeszcze jakoś funkcjonowało.

Nie czekał długo, gdy taryfa zatrzymała się tuż przy nim. Wsiadł, zajmując miejsce na tylnej kanapie. Ruszyli, nim zdążył cokolwiek powiedzieć.

– Nie wydaje mi się, żebym podał adres.

– Włóż telefon do pojemnika – odparł oschle kierowca.

Metalowa kasetka poleciała na kolana Foxa. Od razu rozpoznał tego mężczyznę: Hugh Barba, jego kontakt operacyjny z CeRPER. Skontaktowali się szybciej, niż się tego spodziewał.

„Gdyby Rita dzwoniła w sprawie zakupów... no cóż, zadzwoni później” – uśmiechnął się pod nosem, zamykając pojemnik.

– Doskonale, Davidzie – dokończył Hugh. – Teraz mnie słuchaj.

Fox kiwnął głową, po czym wygodnie rozsiadł się na kanapie.

– Potrzebujemy informacji dotyczących Jareckiego. I bardzo nam na tym... – zamyślił się. – Przeklinałem już?

– Jeszcze nie – odparł David.

– Zatem bardzo nam na tym, kurwa – zaakcentował wulgaryzm – zależy. Fox się skrzywił.

– To raczej niemożliwe. Wystawienie Eden kosztowało mnie dużo pracy i utraconego zaufania. Od wydarzeń w Genewie wiele się pozmieniało. Sekcja naukowa jest wyjątkowo dobrze chroniona. Żaden z moich ludzi nie

ma do niej dostępu. Sprawy muszą przycichnąć, bo inaczej – jego twarz sposepniała – nas odkryją.

– Jeśli zależy ci na naszej umowie, to musisz się bardziej postarać, rozumiesz?

Fox trzepnął w zagłówek fotela.

– Kurwa! – warknął zdenerwowany. – To nie jest zabawne! Połowę pracowników umieścili na liście do weryfikacji. Ja również stałem się niepewny, rozumiesz to? To nie o twoje życie się rozchodzi! Zatem wyluzuj z tym „postaraj się”!

Jechali przez zaśnieżone i wymarłe ulice Manhattanu, mijając Grand Central Terminal. Hugh nic nie odpowiedział, jedynie zerknął na rozmażane w tylnym lusterku odbicie Foxa.

– Po fiasku operacji w Afryce – zaczął David dużo spokojniej – oraz nieudanym przejęciu Eden przełożeni mi nie ufają. Czy wy ich macie za idiotów? W tej chwili nie jestem w stanie sabotować projektów. Co więcej, cała sieć informatorów się sypie! – Ponownie dało się wyczuć jego zdenerwowanie.

– Musimy odzyskać tych ludzi – odparł chłodno Barba, po czym teczka z dokumentami znalazła się na kolanach Foxa. David ją otworzył i zaczął się zapoznawać z nowymi wytycznymi.

– Hmm, to ten od N-TAI – mruknął, spoglądając na zdjęcie Bernarda Edena. – Słyszałem, że Majestic go przejęło, ale nie wiem, gdzie on jest. Zagiął i nawet cała armia wywiadowcza świata, Mossad, KGB i MI6, nie mają zielonego pojęcia, co się z nim stało. Podejrzewam, że nawet Bóg tego nie wie, więc czego ode mnie oczekujesz?

Hugh pokiwał głową, ale nic nie odpowiedział. Jechali przez chwilę w ciszy. Fox ponownie spojrzął na wyludnione, zawiane śniegiem ulice. Tylko nieliczni, opatuleni w grube płaszcze, przemykali to w jedną, to w drugą stronę. Wszystko pod baczny okiem Gwardii Narodowej.

Przypomniał sobie Nowy Jork sprzed kilku miesięcy, gdy przejazd z Central Parku do Chinatown mógł zająć nawet dwie godziny, korki ciągnęły się kilometrami, a ludzie mrowili się na chodnikach. Wystarczył miesiąc, aby zima sparaliżowała całe miasto. Obowiązujący od dwóch tygodni stan wyjątkowy w USA sprawił, że po raz pierwszy od czasu zakończenia zimnej wojny poczuł obawę o przyszłość. Zrozumiał, że postępująca zima nie jest tylko wybrykiem natury, lecz także przygotowanym działaniem, może nawet efektem zastosowania broni geoinżynierijnej.

– Szybko się denerwujesz, Davidzie – odezwał się Hugh. – Czyżbyś faktycznie był spalony? Mam nadzieję, że nie wciskasz mi kitu, hmm? – Spojrzał na niego.

– Przechwycenie Eden miało być ostatnim zadaniem! – krzyknął Fox. – Wystawiłem ją wam na tacy, Lescouta również. Gdyby nie ja... – Nie zdążył dokończyć.

– Ciii... – Hugh teatralnie przyłożył palec do ust. – Możesz ciszej? Słyszę. Jesteśmy ci wdzięczni, ale sprawy się pokomplikowały. Wiesz, o czym mówię?

Fox westchnął głośno, zerkając na konny patrol policji. Zdesperowane władze, aby zachować kontrolę nad wściekłymi i przerażonymi mieszkańcami, zwiększyły obecność sił bezpieczeństwa, wykorzystując do tego wszelkie dostępne środki. „Dobrze, że jeszcze nie używają włóczni – pomyślał. – Jak tak dalej pójdzie, to niedługo zaczną rekwirować wszelkie pojazdy”.

– Słyszałem jedynie plotki – odezwał się po chwili milczenia. – Podobno zaatakowali kilka baz, ale nikt mnie nie wtajemniczył w szczegóły.

Hugh skręcił w boczną uliczkę i zatrzymał się przy dużym metalowym śmietniku. Jednak nie zgasił silnika. Wiedział, że z powodu tęgiego mrozu mógłby go potem nie odpalić.

– To nie plotki. Uderzyli nie tylko w nas. We wszystkich. – Wskazał ręką na oszronione znaki i obsypane puchem kamienice. – Bardzo mocno, wielu zginęło. A ty nic o tym nie wiedziałeś?

– Powiedziałem ci już, że sieć się rozsypuje. Nie ufają nikomu. To cud, że jeszcze żyję. Ech, co ty możesz wiedzieć...? – mruknął, po czym wziął do ręki kolejne zdjęcie, tym razem przedstawiające Roberta Jareckiego.

Ostatnie tygodnie nie należały do udanych. Vito, jego nowy przełożony, za fiasco operacji w Genewie omal nie pożarł go żywcem. Co mądrzejsi podejrzewali sabotaż. Fox wiedział, że najgorsze, co mógłby teraz zrobić, to się wychylić. Z pewnością mają na niego oko. „Skoro jeszcze mnie nie sprzątnęli, to albo śledzą moje ruchy, albo poszukują dowodów” – zastanawiał się wpatrzony w otyłą twarz Jareckiego.

– David? – Głos Hugh'a wybudził go z zadumy.

– Sekcje naukowe są gdzieś w podziemiach bazy Dulce – kontynuował Fox. – Nie ma szans, aby go stamtąd wydostać. Chyba że szturmem – prychnął lekceważąco.

Hugh uśmiechnął się szelmowsko.

– O to się nie martw. Jedyne, co masz zrobić, to dowiedzieć się, któredy będą ewakuować Jareckiego. – Spojrzał na Foxa, którego twarz nie wyrażała zadowolenia.

– Ewakuować? – zapytał zaskoczony, nachylając się w stronę Hugh'a.

– Czy naprawdę chcesz znać szczegóły?

Miał rację, nie interesowały go ani sprawy CeRPER, ani Majestic. Zrozumiał, że świat, jaki znał, zamieszkują same skurwysyny. Z tego faktu wynikała prosta implikacja: Ziemię nieuchronnie czeka zagłada.

„Majestic, realizując cele agendy Xeropha, nie liczyli się z ludzkością” – myśli jedna za drugą przetaczały się przez zmęczony umysł. Doskonale o tym wiedział i dlatego postanowił nawiązać kontakt z CeRPER. Przeciwwstawili się obcym, realizując szlachetną misję ratowania ludzkiej rasy. Nawet jeśli była to propaganda, kompletnie go to nie obchodziło. „Jeśli moja córka otrzyma bezpieczny azyl na NOVIE, jestem skłonny wytatuować sobie na czole serce z logo CeRPER”.

– Nie – powiedział głośno Fox. – Co mam zrobić?

Hugh sięgnął po niewielkie, okrągłe urządzenie.

– W środku jest nadajnik. Gdy tylko rozpoczną ewakuację, włączysz urządzenie, prawdopodobnie użyją podziemnej linii kolejowej. Spokojnie – dorzucił Hugh, widząc wystraszone spojrzenie Foxa – nie da się go namierzyć.

– Coś jeszcze? Może mam wysadzić jakąś bazę albo porwać naczelnego dowódcę Xeropha? – zapytał, z trudem ukrywając poirytowanie.

– Jest ci do śmiechu? – Spojrzenie Hugh'a było jak smagnięcie biczem. Fox jedynie głośno westchnął.

– To słuchaj – kontynuował Hugh. – Jeszcze jedna sprawa. Otwórz na ostatniej stronie.

Fox zrobił tak, jak mu kazał. Jego oczom ukazało się zdjęcie pobitej kobiety. Wychudzona twarz z licznymi ranami zdradzała albo tortury, albo jakiś wypadek.

– Niejaka Corine Saward – wyjaśnił Hugh. – Określiła się jako członek Majestic. Poprosiła o azyl. Podobno wasi... – zamilkł, przechwytyjąc karzące spojrzenie Davida – to znaczy Majestic chciało ją zabić. Podejrzewamy, że to szpieg z programu MK ULTRA. Niestety, prekognicja umysłu nie wystarczyła. Widziałeś ją kiedykolwiek, gdziekolwiek?

Fox zaprzeczył kiwnięciem głowy.

– To się dowiedz. Zalecam pośpiech.

– To moje ostatnie zadanie. – Poważny ton Focha nie budził wątpliwości. – Potem, zgodnie z obietnicą, pakujemy się na NOVE.

Kąciki warg kierowcy zmarszczyły się w krzywym grymasie.

– Nie zabierzesz żony?

– Pierdol się! Możesz również pierdolić moją żonę! Masz moje błogosławieństwo! – odparł poważnie.

Hugh otworzył drzwi i wysiadł z auta.

– Co robisz?

– Wysiadka – odparł Hugh, rozprostowując kości. – Zimowy spacerek powinien cię ostudzić. Będziesz miał czas na rozmyślania. – Mówiąc to, wręczył Fochowi nadajnik.

David schował go do kieszeni.

– Kurwa, zimno. Aha, jeszcze jedno. Radzę się pospieszyć, bo... – Hugh zamilkł, rozglądając się po okolicy – to już długo nie potrwa.

– Co ty pierdolisz? – zapytał Fox.

– NOVA – odparł tamten. – Może tydzień, może krócej. Kto to wie? – Klepnął Davida w ramię.

– Co, kurwa?

– Spakuj się już teraz. Dzieci również – odpowiedział Hugh.

– Co się dzieje? – Fox nalegał, ale bezskutecznie.

Hugh pokiwał przecząco głową, po czym usiadł za kierownicą.

– Nie zapomniałeś o czymś? – zapytał, wręczając Davidowi telefon.

Ten nie próbował dłużej drążyć tematu. Nie miało to żadnego sensu. Ruszył zaśnięzonym chodnikiem przed siebie. Czekąco go dużo niebezpiecznej roboty, ale nie miał wyboru, bo jak powiadają, czego się nie robi dla rodziny.

## **SPÓR**

3 października, stacja orbitalna NOVA

Rozpalone do czerwoności silniki rzygnęły gwałtownym ogniem. Wahadłowiec zaledwie o centymetr minął końcówkę parabolicznej anteny, zbliżając się do głównego doku przeładunkowego. Śluzka z wymalowanym napisem EX-07 rozdziawiła paszczę, ukazując ściśnięte jeden obok drugiego orbity.